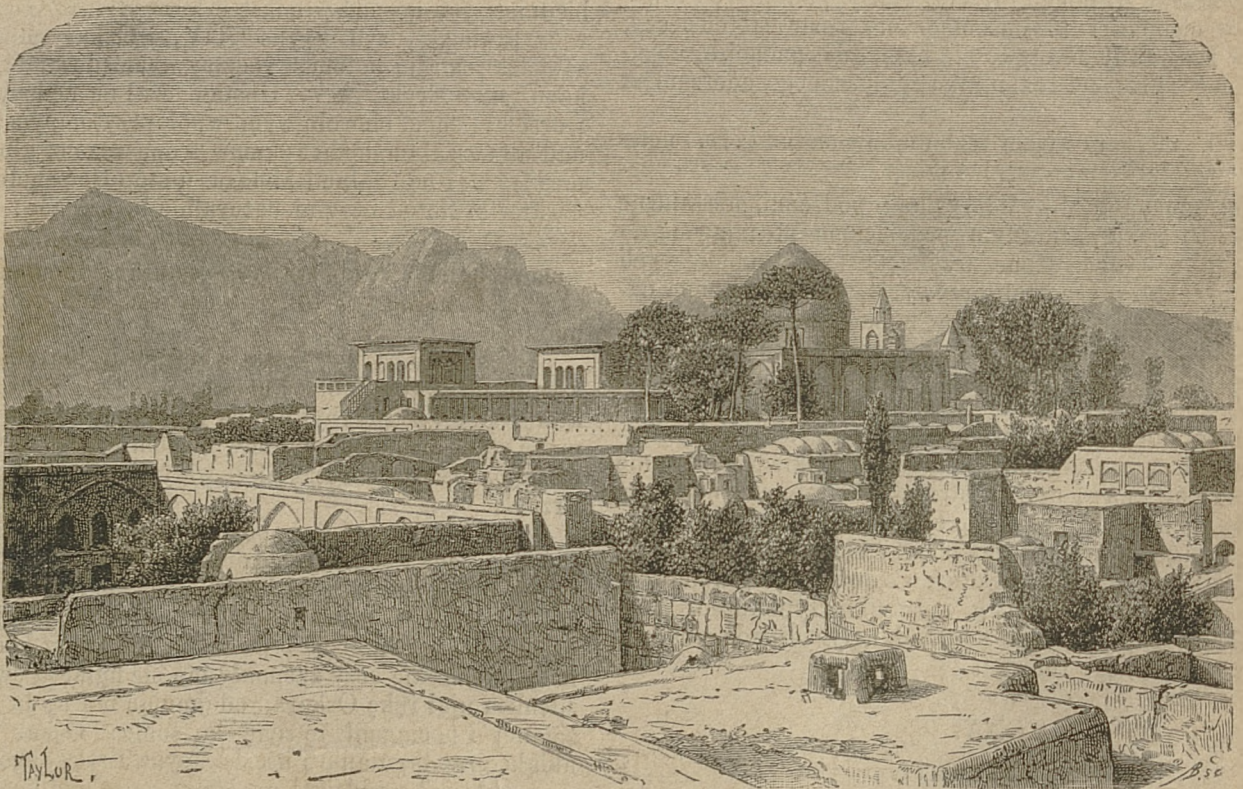




TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi Mazowiecka Nr. 8.



MIASTO DŻULFA W PERSYI.

Miasta wschodnie różnią się znacznie powierzchnością swoją od europejskich. Zwykle domy budowane są pośród ogrodów, a zieloność drzew pięknie odbija od białych murów.

Po ulicach niema takiego gwaru i hałasu, jak u nas, mieszkańcy Wschodu są powolni, flegmatyczni, kupcy na bazarach siedzą tak, jakby drzemali, a po ulicach nie widać ruchliwych i śpieszących się wiecznie przechodniów.

KRÓLEWICZ-TUŁACZ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

przez M...a.

(Dokończenie).

Rozbójnicy zmuszeni rozdzielić się, aby ze wszystkich stron obsaczyć Erykowego syna, tropionego od dni kilku, napaśli na pojawione przypadkiem sanie Dagów w trzech tylko, rachując na niespodziany napad i na podstęp: zwyczajem swoim rozciągnęli oni sznur w poprzek drogi od drzewa do drzewa na wstępie do lasu i gdy konie, splątawszy się, padły, wywracając powóz na bok, rozbójnicy rzucili się na podróżnych. Woźnica, dostawszy się pod konie, nie mógł się wy dostać, u drugiego wozu jedno uderzenie maczugi powaliło także woźnicę, czyniąc go bezsilnym. Inny cios, wymierzony w nogi wierzchowego konia, strząsnął je, koń padł, przygniatając pacholicą z pochodnią, gdy tymczasem sam Dago, zdolał wyrwać się z pod sani, walczył już z dwoma rozbójnikami na raz, krzycząc na służbę:

— Do mnie tu, do mnie, plecy do pleców... — i w istocie, na tę komendę, jedyny pozostały jeszcze swobodny pacholik potrafił przyskoczyć do pana, zamiast bronić się nacierającemu nań trzeciemu rozbójnikowi: Dago i jego pacholik, wsparci wzajem plecami o siebie, walczyli więc rozpaczliwie ze wszystkich sił, zatrudniając w ten sposób trzech zbójców na raz, aby ich nie dopuścić do powozu, a oczekując jedynie na pomoc Bożą, lub podźwignięcie może którego z trzech ludzi swoich. Słaba ta nadzieja zniknęła w miarę, jak ubywało sił dwóm walczącym, gdy wtém z tyłu za zbójami nacierającymi na pana Dago ozwał się krzyk:

— Trzymaj się! — i uderzenie potężne zważyło z nóg rozbójnika. Dago w tejże chwili, korzystając z czasu, zdołał przeszyć mieczem drugiego, trzeci, widząc padających towarzyszy i w ciemności nie poznając na razie sił odsiecz, zemknął w las, jakby go nigdy nie było, gdy pacholik, uwolniony od niego, przeszył rozbójnika ogłuszonego uderzeniem Gustawa.

— Uciekajcie, nim więcej rozbójników nadbieży!... uciekajcie! — wołał z ciemności głos jakiś.

— Bóg wam zapłać! — odkrzyknęli podróżni, nie widząc pawców, lecz z gwałtownym pośpiechem stosując się do Dago pochwycił żonę i wskoczył z nią do stojących sani, słudzy, pozostali przy życiu, na rozkaz pana odwróciwszy się splątane u sani, czém w mgnieniu oka uwolniwszy się, skoczyli na nie, i popędzono cwałem co rumaki po głąb dalej do miasteczka. W chwili, gdy ruszono, znikł nagle sznur z przed kopyt końskich, ten sznur obalił konie u pierwszych sani: to królewicz, wyczerpany ostatnim wysiłkiem w obronie „swojej” na ziemi, spostrzegł ów sznur i odjął go, i po ziemi, aby tego dopełnić. Inaczej drugi powóz, z losu pierwszych niechybnie. Odjęcie sznura przy takim trudem dla zgnękanego człowieka, dokonawszy się, opuścił on głowę na śnieg i stracił przytomność. Konie uciekających ku miastu koni mignęły o piędź zaledwie koło głowy omdlonego tułacza.

XV.

Spotkanie.

Jednocześnie prawie, i zaledwo o kilkaset kroków od miejsc, zasadzki na Dagów, jechał zwolna na silnej choć pospolitej szkapie pojedynczy podróżny. Rozglądał się, usiłując przebiec okiem ciemności, gdy coś mignęło mu koło łba końskiego, to miecz był, skierowany ku niemu, ale podróżny śnać nawykły był do podobnych niespodzianek, bo miecz dzwignął o miecz, i ciemna postać z jękiem i ponurą kłatwą upadła koniowi pod nogi. Szkapę ani drgnęła, tylko ostrożnie

zabierała się przekroczyć żyjącą jeszcze na wpół przeszłości końskim obyczajem, aby jej nie uszkodzić: widać, że i szkapę obytą była z takowemi rzeczami. Podróżny jednakże zajął ją, zsiadł, i przypatrując się z bliska dyszącemu jeszcze rozbójnikowi, wsiadł znowu najspokojniej na swego konia mówiąc niby do niego półgłosem:

— Tak, to jest jeden z tych bezecnych ogarów wysyłanych przy mnie na jego wytopienie, gdzie więc on jest? hm szkoda, że nie mogłem wyrwać się śpieszniej... — Jechał dalej powoli, ale rozglądając się pilnie i nadsłuchując, po chwili w tumanach wichru przemknął koło niego powóz i kilka jezdnych, pędząc jak huragan; podróżny popatrzył za nimi, pomyślał, pokręcił głową i powiedział do swojej szkapę przyjacielsku:

— I tam nie może on być, bo nasi nie mają wozu i nie w tę stronę wieść go powinni. — Szkapę mądrze kiwnęła głową na te słowa i zwalnając chodu zaczęła jakoś bardzo ostrożnie przebiegać się przez stosy suchych liści.

— A cóż tam? czyby człowiek?... — zapytał jej pan, znający dokładnie zwyczaje wiernego stworzenia, i znowu zsiadłszy rozpatrzył bliżej liście, znalazł na tém posłaniu ciepłe jeszcze ciało człowieka, i spojrzawszy mu z bliska w twarz mruknął:

— Otóż i on! Podobno przybyłem zapóźno na ten raz... ha, kiedyś musiało się to skończyć, i lepiej dla niego, że się skończyło...

Wymawiając te twarde słowa, nie wiedział człowiek ten wcale, że dwie grube łzy stoczyły mu się z oczu na lica, a ręce, poczuwszy bijące jeszcze serce w zasypianym biedaku, chwyciły go i zarzuciły na szkapę. Ponieważ wszyscy trzej rozbójnicy, mający czuwać na drodze do miasteczka, zginęli, przeto nie było komu dać znać innym ich towarzyszym, którzy na innych drózkach i przesmykach czyhali na Gustawa: droga była więc wolna zupełnie.

O późnym brzasku dnia 22 Lutego 1607 roku dwóch ludzi znajdowało się w małej, nędznej izdebce, w jednej z najbiedniejszych gospod w miasteczku. Byli to Gustaw, król szwedzki, syn Eryka XIV, i Oskar Sten, szlachciszwedzki, ostatni potomek rodziny wymordowanej z woli i rozkazu tegoż Eryka XIV. Gustaw leżał na nędżnym tapczanie i drzemał snem chorobliwym, wpół przytomnym; Oskar stał nad nim z załamanemi rękami, z opuszczoną głową tak, jak niegdyś stał nad falami Melaru u stóp Gripsholmu. Na raz Gustaw otworzył oczy nienaturalnie błyszczące:

— Co? a więc ja jeszcze żyję?... — szepnął z niewywnem a pełnem rozdzierającego smutku zdumieniem. — A ty jesteś! znowu ty! to ty pewno i na ten raz nie daś umrzeć!

Te ostatnie wyrazy Gustaw wymówił, patrząc na Oskara, a w głosie dzwięczało coś naksztalt tkliwego wyrzutu: Oskar, który sądził, że przybył na ten raz za późno, ścisnął załamane ręce, usiadł bezsilnie w nogach tapczanu i płakał, jak dziecko. Gustaw zrozumiał wszystko, popatrzył uważnie i rzekł:

— Aha, przybyłeś zapóźno, ja umieram, a więc ty płaczesz, z nienawiści ku mnie oczywiście? prawda?... bo wszak ty mnie nienawidzisz, całe życie nienawidziłeś?... a odpowiedź!... — jakieś dziwne odbłaski wróciły w tej chwili między dziećmi barwami na typowo piękną twarz królewicza, po nocy, niebieskie oczy zaśmiały mu się figlarną swawolą, z wysileniem ujął rękę Oskara, odejmując mu ją od twarzy i zalanej i pociągnął tę rękę ku sobie: Oskar Sten łkając ukląkł przy tapczanie i uściśnął syna Erykowego.

— A co? a widzisz! a widzisz, że ty mnie kochasz! — mówił Gustaw radośnie, i wsparłszy skroń na ramieniu klęczącego, szeptał mu dziwne rzeczy o swoim szczęściu, o Zygfrydzie, o Szwecyi... szeptał coraz ciszej, milkł chwilami, milkł coraz częściej.

Oskar klęczał nieruchomy, długo patrząc na głowę wspartą mu o ramię, jakby oczarowany blaskiem nieziemskiej jej piękności. Gdy nareszcie ludzie obcy weszli do izdebki, Oskar wstał z klęczek i kładąc pocałunek na czole tego, którego

musiał kochać, mimo swęj woli, powiedział mu cicho, jakby na pożegnanie:

— Za nie swoje winy... Królestwo Boże, kiedyż zstąpisz na ziemię? kiedyż ludzie wyrzekną się złego, aby ich ukochani nie cierpieli za nich?...

Gdy ludzie obcy następnie znowu z prostych i koniecznych względów odeszli, Oskar jeszcze raz ukląkł przy zwłokach człowieka, którego mu poleciła ostatnia żona bratnia, ukląkł, a potem schylił się i ucałował je, bo jakoś pomąciło mu się w głowie, zdawało mu się prawie, iż to są zwłoki owego brata. Przy tym ruchu Stena, lewa jego ręka nieświadomie położona na sercu Gustawa, po chwili nagle zadrżała:

— Co!... czy być może? — szepnął sam do siebie — a więc on żyje jeszcze, a ja i tamci ludzie sądziliśmy go umarłym? Ale prawdopodobnie są to ostatnie drgania biednego serca...

Tak myśląc, Sten zabrał się przecież co prędzej do użycia względem Gustawa najprostszych owoczesnych uzdrawiających środków, w które każdy prawie bywał zaopatrzony. Wiedział on dobrze, że proste to były środki, ale też i prostą i potężną była siła cudowna młodości, na rzecz której je zużywał; gdy ciężkie kroki ludzi ciężar dźwigających i pomruk gderliwej rozmowy ozwał się w sieniach domostwa, Sten żywo rozpostarł płaszcz swój na łożu mieszczącym Gustawa i drzwi otworzył:

— Co tam? — zapytał — a dźwigający poznali natychmiast przyciszony głos jego:

— To Waldson, hrabio — odpowiedziano — jeden z trzech którzy zginęli tej nocy, w tym jeszcze duch się kołacza i dla tego przynosimy go tutaj, tamtych pogrzebaliśmy na miejscu.

— Dobrze — rzekł Sten — połóżcie go tu na mojem łóżku, a sami czekajcie na moje rozkazy, dzisiejsza noc była niedobra, ale druga lepszą będzie — i wskazał Sten drugie łóżko w izbie.

Posłuchano rozkazów Stena, gdyż miał on przeważny głos pomiędzy stowarzyszonymi, którzy natychmiast na jego rozkaz rozeszli się dla zużytkowania szczodrego odeń pochodzącego datku, zostawiając jedynie dwóch ludzi na „posługi” wedle jego żądania. Gdy znów ucichło w karczmie, Sten żywo a ostrożnie zbadawszy obu chorych na dwóch łóżkach, przekonał się, że Waldson rozbójnik, własnym jego mieczem podobno płacony, skończył już życie. Zatem śpiesznie, ale z ciężkim trudem, zaledwo mogąc dać radę zadaniu, zajął się zmianą szat chorego i nieżywego przekładając tudzież starannie dokumenta i znaki jakie były przy Gustawie w kieszeń Waldsona, a potem przeniósł jednego na łóżko drugiego. Pot kroplisty rosił czoło silnego człowieka, gdy dokonał tej pracy. Poczekał chwilę, spoczywając i dając spocząć Gustawowi i opatrując go znowu, a potem otworzył drzwi i rzekł cicho do oczekujących na jego rozkazy dwóch służalców, wskazując im syna Erykowego:

— Weźcie Waldsona na nosze i przenieście go dalej, do naszych, trzeba nam wracać do dom, dalej, w stronę morza!...

I poniesiono Gustawa w stronę tego morza, ku któremu on od lat wielu napróżno dążył, i ponieśli go nieświadomie ci, którzy odejściu jego w te strony najmocniej dotąd przeszkadzali.

Nazajutrz i w dniach następnych dziwne wieści obiegać zaczęły miasteczko, a następnie w coraz szerszych kołach i dalszy świat, a treścią wieści tych było, że samozwaniec szwedzki, mniemany Gustaw Waza, znaleziony został umarłym w niekzmemnej gospodzie. A potem mówiono, że znamienny Sten, szlachcic szwedzki, musiał zginąć wśród burzy morskiej, gdyż znikł nagle z widowni świata.

E p i l o g.

Po trzy razy od opisanych wypadków, smętna, lecz miła wiosna północna zazieleniła północno-zachodnie wybrzeża skandynawskiego półwyspu, brzegi północnej Norwegii. Jasne choć blade słońce złociło znów szczyt Karłej skały, wzniesiony wysoko ponad inne i nad morze, na poszarpanem skalistym wybrzeżu. Na szczycie tym stał też znowu, nie chłopczek wprawdzie, lecz mąż w pełni sił dojrzałych. Stał,

patrzac w niewymownie piękne nieskończoności wód i niebios, jakie go otaczały, patrzył w tém pełnem pokory i powagi skupieniu ducha, jak patrzali uczeni miłośnicy przyrody, pojmujący jej prawa potężne. Wsłuchiwał się przytém z lubością w brzmiające dźwięki wesołej pieśni rybackiej, nuconej przez całą osadę liczną flotylli łódek, wyruszających w teje chwili na pierwszy połów doroczny na pełne morze, pod dowództwem starszka, żwawego Swensona. Gdy setka tych łódek wypłynęła z załków skalistych, gdzie ją niewiasty i dzieci żegnały, wtedy śpiewający rybacy, spojrzawszy w górę, ujrzeli na wiadomym szczycie znajomą im postać, nagle pieśń umilkła, wszystkie ramiona wzniosły się w górę i paręset głosów krzyknęło donośnie:

— Ej, Duchu Opiekuńczy z Karłej skały, nie chciałeś płynąć z nami, dajże nam choć dobre słowo na szczęście! Nie wyruszymy bez tego!... — i wszystkie łodzie stanęły: chwilę trwało milczenie, a potem poważny głos zabrzmiał ze szczytu Karłej skały.

— Bóg z wami! niechaj was prowadzi na bogaty połow i wróci do dom szczęśliwie!

— Z Bogiem zostańcie! — zabrzmiało z łódek, wios mignęły, plusnęły, zabrzmiała pieśń przerwana chwilowo i łodzie posunęły dalej, po grzbiecie olbrzyma oceanu. Gdy znikli w oddali i pieśń zginęła, wesoły głos ozwał się ze śmiechem tuż za patrzącym wciąż Duchem opiekuńczym Karłej skały.

— A ot, co komu przeznaczone, to go nie minie, urodziłeś się do korony, królu Gustawie, i oto bądź co bądź, mimo wszystkiego, jesteś władcą... serc rybackich!...

— I bądź co bądź, drogi Stenie, dumniejszy jestem z tąd władzy gwałtem we mnie tu winawianej, niżbym był z tronu najpotężniejszego państwa, zdobytego krwią i mieczem! — odpowiedział żwawo i wesoło król Gustaw, zwracając się do przyjaciela. Oba zeszli ze skały w skalistą lecz śliczną dolinkę, gdzie już nie trzy lecz kilka razy tyle zagnieździło się domków, a wszystkie ciepłe i wygodne i w niczem nie podobne do budek dawniejszych, widocznem było, iż umiejętna ręka przewodniczyła ich budowaniu, i w uprawie całej dolinki znać było kierunek wyższego rozumu, umiającego skorzystać z darów surowej, lecz zdrowiem i siłą przytém darzącej przyrody. Ujrawszy Gustawa, zstępującego ze skały, cała dość liczna gromadka kobiet i dzieci, patrząc dotąd za łodziami, zwróciła się do niego:

— Duchu! dobry człowiecze! dla czego nie popłynąłeś z rybakami, aby im się szczęściło? — zapytano go w naiwnem przekonaniu, że do czego on rękę przyłoży, szczęście się musi. Gustaw uśmiechnął się i spojrzał na jedną kobietę, która patrząc także na niego, nie pytała. Była to bardzo już stara, ale zdrowa matka Swensona, wdowa po starym Swensie.

— Posłuchajcie, powiem wam dla czego — rzekł Gustaw, siadając na odłamie skały; cała ludność otoczyła go, mieszcząc się wygodnie ku słuchaniu, bo słuchać go, było nie od dzisiaj rozkoszą dla niej. Gustaw opowiedział o sobie, jak smutny przesąd, z powodu śmierci Swensa, odwrócił od niego wszystkie serca w dzieciństwie, aż opuścić musiał osadę, ale później powrócił, bo kochając skałę, która go wychowała, chciał jej się odwdziżyć, wypleniając wśród jej ludności niepotrzebne przesady, jak chwasty, a nauczyć ją wielu rzeczy, ułatwiających życie, i miłych, i dobrych, jakich on sam nauczył się wśród mądrych ludzi, daleko...

Na pamiątkę zaś dawnych zgryzot, Gustaw przyrzekł sobie nie stąpić więcej na słoną wodę.

Gustaw mówił, a ludzie słuchali, przywiązując się coraz bardziej do człowieka, który życzył im dobrze i radzić umiał dobrze w każdej sprawie, ale pomimo jego tłumaczeń, że jest sierotą przez Swensa znalezionym, i mimo prostego życia i wspólnej pracy, powoli znowu przesąd otaczać go zaczynał, tylko że teraz był to przesąd pełen miłości. Czując, że lepiej jest osadzie pod opieką, rozumnego człowieka, nazwano go niby żartem Duchem Opiekuńczym Karłej skały, ale niezadługo nazwa ta przyrosła do mądrego męża, któremu miłość przyjaciela Stena dodawała powagi w oczach ludu, umiającego go przyjaźni cenić.

Huczały wichry, szumiały morza, i burzliwe namiętności ludzkie wstrząsały tronami Jana Szwedzkiego i Zygmunta III, a żaden z nich nie domyślał się, że krewny ich w odległej krainie panuje w ciszy i szczęściu gromadce serc, których miłość miłością zdobył... Gdyby ci krewni to wiedzieli, pozazdrościliby mu nieraz z pewnością.

Przeszłość i nieszczęście, jakby odebrawszy od niego należą im bólów daninę, zapomniały o nim nareszcie.

WYŻLICA.

BAJKA.

p. Z. Morawska.

Na starym tapczanie wraz z pięciorgiem dzieci
Żyła śliczna wyżlica; a już tydzień trzeci
Kończyły właśnie małe wyżlicy pociechy;
Widziała więc, że wkrótce z pod rodzinnej strzechy
Trzeba je już wypuścić, a matki pieśczęty
Zamienić na twardą pracę i życia kłopoty.
Więc głaszcząc je, zaczęła do pracy sposobić,
By na pocciwe psiska dzieci swe urobić.
— Ty, najstarszy, mówiła, idź śmiało wśród ludzi;
Nie płaszcz im się zbytecznie, lecz niech cię nie nudzi,
Gdy od ciebie posługi zażądają skromnej.
Bądź wierny i odważny, bądź także przytomny,
By ochronić od złego tych, co cię przygarną.
Ty, nie sięgaj wysoko, posługaj choć marną
Zjednaj sobie przyjaciół, nie żądaj zbyt wiele,
A mieć będziesz co zechcesz. Tobie przyjaciele,
Mój trzeci pieściochu, rzucają nieraz pochwały,
Nie daj im się złudzić, i dopókiś mały,
Przyucz się własnemi pracować ramiony,
A sam sobie wystarczaj. A ty wykarmiony
Mojemi pieściotami, ty czwarty, malutki,
Idź także między ludzi; chociaż młodziutki,
Pracować jednak możesz. Z początku powoli
Naucz się tropienia po lesie, po roli;
Potem węchem poszukasz, gdzie jest legowisko
Szaraka, lub kuropatw jesienne siedlisko.
A gdy ci się raz, drugi, polowanie uda,
Nie doznasz nigdy w życiu, co smutek i nuda.
Bo gdy trąbki zagrają, broń weźmie myśliwy,
Pogonisz za nim wesół i będziesz szczęśliwy!
Ty zaś, córko kochana, jedynaczko moja,
Nie myśl, aby próżniaczą była dola twoja.
Chociażeś urodziwa i nad wiek twój zdolna,
Lecz i ciebie nie minie też dola mozolna.
Zrazu musisz pilnować pokoju i sieni,
Lecz gdy trochę podrośniesz, dola ci się zmieni.
Żyć będziesz może w chacie, może w wielkim domu,
Bo któż to tam odgadnie, jaka dola komu.
Lecz cokolwiek w udziale dla ciebie przypadnie,
Niech każdy po twych czynach odrazu odgadnie,
Że możesz być ozdobą, chlubą psiego rodu,
A czego się podejmiesz, spełniaj bez zawodu.
Tak pracując z was każde, miłujcie się wzajem,
A świat Boży, ten piękny, będzie dla was rajem.

Tak mówiła wyżlica, a psiaki w około
Skacząc przy swój matusi, lizały jej czoło,
Jakby chciały powiedzieć: Uspokój się, mamo,
Jak ty żyjesz, jak uczysz, żyć będziemy tak samo.

Czyż w tej bajce z was każde prawdy nie odszuka?
Wszak każdej matki dla nas jednaka nauka.

PRAWDZIWE CZARY,

RZECZ NUDNA LUB ZABAWNA, JAK SIĘ KOMU PODOBA.

Spisana pr. Marya Świdarska.

WSTĘP.

Nie jeden z nas zna może owady zwane *Kornikami* (*Xylophaga*), które, żyjąc w drzewie i pod korą, niszczą lasy nasze. Jeden gatunek z takich Korników, zwany *Drukarzem*, (*Bostrichus typographus*) toczy korę tak zgrabnie, że ta wygląda, jak gdyby pokryta prawdziwym drukiem. Dotąd jednak żaden z uczonych, nawet tych, co to egipskie i asyryjskie hieroglify decyfrują, nie umiał nic wyczytać z druków pracowitego kornika. Zato ja, choć niezbyt uczona, a może dla tego właśnie, zaczęłam się tak uważnie przypatrywać korze, przez naszego Drukarza wygrzzionej, że z niej wyczytałam powiastkę, którą tu spisać się postaram. Są tam niedorzeczności, w które my ludzie nie koniecznie wierzyć potrzebujemy, na przykład o owych karzełkach! ale zresztą pracowity Drukarz pozbiierał tam tyle szczegółów o swoich współrodakach, których nawet po łacinie nazwać umie, (naśladując naszych uczonych panów entomologów), że postanowiłam się niemi podzielić z tymi, co nie zechcą, jak ja, trawić czasu na decyfrowanie pisma pana Drukarza. Co tam będzie dobrego czy ciekawego, złożyć proszę na mój rachunek, za co się nie pogniewam; co złego lub nudnego będzie, niech zato pokutuje mój Kornik Tęgopokrywę.

I.

Zadumany karzelek.

Śliczny był dzień wiosenny. Słońce jasno świeciło, a w złocistej siatce jego promieni igrało mnóstwo brzęczących muszek; na drzewach świegotały ptaszki, znosząc sobie piórka i słomki na gniazdeczka, a nawet robaczki z pod ziemi wypelzły, żeby się wygrzać na słońcu i przypatrzeć, jak ładnie wygląda świat Boży. Tymczasem z pnia starego dębu wyszedł malutki karzelek, ale to taki malutki, że możnaby go schować do kieszeni, ba — nawet do zwykłego piórnika i pomieściłby się tam wygodnie. Małe książątko (był to bowiem książę „Kalinek”) wyszło, obejrzało się w koło, wreszcie usiadłszy na przewróconej skorupce ślimaka, zadumało się z główką wspartą na rękę. A musiało to być jakieś zadumanie głębokie i frasobliwe, kiedy książę Kalinek ani słyszał, jak pszczołka brzęcząc raz i drugi przeleciała mu nad głową. Widząc, że na nią uwagi nie zwracają, usiadła lekko na fiołku u stóp książątka i słodkim, łagodnym brzękiem się ozwała:

— Czy to mnie książę nie poznaje dzisiaj? Czy ma jakie zmartwienie mój pan kochany? A może „Burczymucha” w czym dopomódz zdoła, bo nie darmo przecież dobry książę wyratował mnie z sieci pająka; nie! nigdy tego nie zapomnę, klęę się na plastr miodu Samsona! Mówcie, miłośniwi książę, co Burczymucha dla was zrobić może; rozkazujcie: skrzydła moje, łapki, żądło nawet są na wasze usługi.

— Dziękuję ci, dobry Burczymucho, ale na frasunek mój nie tak łatwo znaleźć lekarstwo. Oto miałem zaślubić księżniczkę „Milutkę”, moję ukochaną towarzyszkę lat dziecinnych i przyjaciółkę najmiłszą, lecz król „Rozsądnik”, jej ojciec, oświadczył mi dziś wyraźnie, że dopóty zięciem jego zostać nie mogę, dopóki mieć nie będę własnego pałacu, urządnego, jak przystoi na mieszkanie dla królowej, zaopieczonego służbą i wojskiem do obrony. Zkądże ja to wszystko mieć mogę? Złota i drogich kamieni znalazłbym co niemiarę w podziemnych jaskiniach, ale co mi po złocie? To tylko ludzie cenią, dla nas karzełek i dla was zwierzątek nie ma ono żadnej wartości. Dawniej podobno mnóstwo karzełek żyło na świecie, ale teraz wyginęło to plemię; gdzie więc znajdzie robotników, wojsko i służbę? Udawałem się do ptaszków, ale te mię tylko wyśmiały, mówiąc, że nie dbają o ta-

wysokich, że aż do głowy jej sięgały. Kiedyniekiedy przyskawała, odwracała się, a główka jej, ustrojona w pióra, migłała z poza zielonych łodyg i różnobarwnych kwiatów. Już zbliżała się do drzew, gdy nagle pochyliła się i zaczęła łuk naciągać. Wędrowcy byli pewni, że ujrzała zwierzynę, spoglądali w stronę, gdzie strzała miała polecieć, gdy w tém dziewczyna krzyknęła przeraźliwie i znikła zupełnie wśród zieleni, a jednocześnie prawie ożwał się huk wystrzału.

Przestraszeni nieopisany ogarnął wędrowców, sądzili, że Nilka była raniona, może zabita. Wszyscy, nie wyłączając ojca Anzelma, nie mającego broni i Pawła, który nie mógł jeszcze podnieść strzelby, chociaż ją niósł zawieszoną przez ramię, puścili się pędem do miejsca, gdzie przed chwilą znikła im z oczu postać młodej Indyan. Okrzyk radości wyrwał się ze wszystkich piersi, gdy ujrzało nagle Nilkę, podnoszącą się z ziemi zdrowo i cało.

— Czy nie jesteś raniona? — zapytał Tomasz.

— Wcale nie — odrzekła z pogardliwym uśmiechem — Witczitasy są to psy najgorszego gatunku, szczekają, lecz nie umieją kąsać.

Niewielka kępa, do której zmierzali wędrowcy, składała się z kilkudziesięciu drzew zaledwie, łatwo więc było ją przetrząść. Paweł natychmiast wydał rozporządzenia stosowne, dwóch Indian wysłał na prawo, sam z ojcem Anzelmem zwrócił się na lewo, towarzyszył im Karol, Tomasz zaś postępował przy Nilce, trzymając strzelbę nabitą w rękę. Poszukiwania nie trwały długo, ujrzało wkrótce trzech Indian Witczitasów, wybiegających z gęstwiny i śpieszących prosto do rzeki, jeden z nich tylko miał strzelbę. Minno i Wampa puścili się za nimi, a Nilka także, pomimo nawoływań Tomasza, z głośnym krzykiem goniła uciekających, którzy jednak zdolali umknąć bezkarnie na drugi brzeg rzeki, gdzie wkrótce znikli za wzgórzem. Roztropność nakazywała zaprzestać dalszej pogoni, Paweł przywołał Indian, kazał rozjuczyć muły i wszystko przygotowywać do noclegu.

Minno i Wampa poznali doskonale jednego z napastników, był to ten sam, który napadł na Nilkę w wiosce Szaunisów, lecz przybrał sobie do pomocy dwóch innych Witczitasów, z których jeden posiadał broń palną. Nie ulegało wątpliwości, że ci ludzie umyślnie zaczęli się w tém miejscu, wyglądając przybycia wędrowców, ażeby dokonać zemsty na dziewczynie z plemienia Komanczów. Gdyby Nilka nie spostrzegła w porę niebezpieczeństwa, byłaby niezawodnie padła ofiarą tej zasadzki. Ale Indyanka miała wzrok nadzwyczaj bystry, dojrzała więc nieprzyjaciela, ukrytego za pnem drzewa i nie tracąc przytomności umysłu, w mgnieniu oka padła na ziemię, a tym sposobem uniknęła zabójczego ciosu.

Dziewczyna musiała być zresztą ostrzelana z podobnemi wypadkami, gdyż nie okazywała najmniejszego wzruszenia, ale zaczęła miotać obelgi na Witczitasów i wynosić pod niebiosa męstwo i siłę Komanczów, wykrzykiwała głośno raz po raz, że plemię to nie ma sobie równego, a wszystkie inne złożone są z tchórzów i bojaźliwych kobiet; zapomniała przytém zupełnie, iż sama przecież była kobietą, powtarzała bezwiednie to, co słyszała od ojca i innych wojowników, pogardzających kobietami, jak wszyscy Indianie. Ale przechwałki te oburzyły Minna i Wampę, pierwszy zaczął też zaraz opowiadać o bohaterstwie Osagów, a drugi Kriksów, poniżając chępliwych Komanczów. Nilka wpadła w gniew straszny i byłoby pewnie przyszło do zaciętej kłótni, gdyby Karol nie był się wmixzał do rozmowy.

— Zapominasz, dzielna i piękna księżniczko — rzekł — że Minno i Wampa pośpieszyli ci wraz z nami na ratunek i gonili twoich nieprzyjaciół. Czyż godzi się im płacić tę usługę obelgami?

— Dobrze mówisz — odrzekła dziewczyna zawstydzona — w plemionach Osagów i Kriksów są także waleczni wojownicy, mówiąc o tchórzach i nikczemnikach, miałam szczególnie na myśli Witczitasów.

Wielki to był dowód umiarkowania ze strony dzięki jej pannenki, Indianie nie żądali też wcale innego zadość uczynienia i zgoda najprzykładniejsza zapanowała znowu w obozie. Lecz

nim słońce zapadło za widnokrąg, ujrzało znowu z daleka, na drugim brzegu rzeki, postaci trzech Witczitasów. Padające na nie ukośne promienie światła dziwne sprawiały złudzenie optyczne, postaci te wydawały się olbrzymie, a tak wyraźnie odcinały się na tle nieba, że można było dojrzeć najmniejszych ich ruchów. Nie wiedzieli oni zapewne o tém, że byli widziani z obozu wędrowców, gdyż często w tę stronę wyciągali ręce, a czynili to z pewnością w niebezpieczliwych zamiarach; w końcu jednak oddalili się z wolna i znikli za wzgórzami.

Wędrowcy rozpalili ognisko, upiekli kawał jeleniej pieczeni, którą mieli w zapasie, ale gdy noc zapadła, odeszli od tego miejsca i znacznie dalej rozłożyli się obozem na nocleg, pozostawiając niedopalone zgłiszczca dla oszukania czatujących Indian. Przez całą noc czuwali kolejno, nic jednak nie zakłóciło ich spoczynku. Dnia następnego nie ujrzało już więcej Witczitasów, pocieszało się więc myślą, że po pierwszym niepowodzeniu zaniechali już dalszych napaści, dla ostrożności jednak nie zbliżali się do rzeki, lecz postępowali środkiem stepu, na którym gdzieniegdzie rozsypane były kępy drzew i mniejszych krzaków. Po drodze zrywały się co chwila gromadki przepiórek i innego ptactwa. Tu Karol ujrzał po raz pierwszy na gałęzi hebanowego drzewa szczególnego ptaka, drozda przedrzeźniacza, *Mimus polyglottus* i usłyszał dziwne jego świegotanie, które zdaje się naśladować i przedrzeźniać głosy rozmaitego ptactwa. Mały śpiewak przeskakiwał przytém z nadzwyczajną zwinnością z gałązki na gałązkę, wyprawiając zabawne harce; zwyczaj ten zjednał mu u Indian nazwę ptaka skaczącego. Czasem nagle zatrzepotał skrzydełkami i przez chwilę zawisł nieruchomo w powietrzu, a wówczas najśpiwniejsze tony wydobywał z gardziółka. Niekiedy głos ptaka zdawał się naśladować mowę ludzką i wymawiać wyrazy francuskie, hiszpańskie, włoskie, jakby zadawał jakieś pytania wędrowcom. Karol miał zrazu choćby zastrzeżenie przedrzeźniacza, aby go zbliżka obejrzeć, lecz Tomasz odwiódł go od tego, upewniając, że szkoda prochu na taką lichą zwierzynę. Nilka to usłyszała i natychmiast z łuku swego wypuściła strzałę tak celną, że położyła trupem biednego śpiewaka i podała go Karolowi. Był to ptaszek nieduży, o długim ogonie, na grzbiecie miał piórka brunatne, na pierśsiach i brzuchu szare, białe centkowane. Paryżanin podziękował młodej Indyance za tę uprzejmość, ale po chwili żał mu się zrobiło niewinnej ptaszyny, która padła ofiarą jego ciekawości.

— Dziwna rzecz — mówił do ojca Anzelma — że nikomu nie przyszło na myśl sprowadzić te zabawne ptaszki do Europy; pewnieby sobie pozyskały większe jeszcze laski u miłośników skrzydlatej rzeszy, aniżeli kanarki i papugi.

— Bo przedrzeźniacz nie może żyć w niewoli — odpowiedział misyonarz — chociaż często urządza sobie gniazdko w pobliżu mieszkań ludzkich i nie stroni od człowieka, w klatce ginie bardzo prędko, tak samo, jak jaskółki, nie tyle zapewne z braku stosownego pożywienia, co z tęsknoty za utraconą swobodą.

Około południa gromadka wędrowców doszła do małego lasku, ojciec Anzelm radził wypocząć nieco w cieniu, ale Paweł uważał, że to za wcześnię na popas i koniecznie chciał dotrzeć do wzgórza, ukazującego się w oddali, o ćwierć mili mniej więcej od tego miejsca. Już Minno wyruszył naprzód z mułami, ale jak tylko wyszedł z lasku, natychmiast zawrócił śpiesznie i ukrył się pomiędzy drzewami, wskazując towarzyszącom kilka drobnych punktów białych, które widać było na stepie w tej stronie właśnie, dokąd się skierować mieli.

IX.

Step.

Podejrzane te punkciki poruszały się szybko i wkrótce znikły z oczu wędrowcom, zanim zdolali rozpoznać, czy to były jelenie, bawoły, antylopy, czy też dzicy ludzie? Ostrożność nakazywała rozstrzygnąć te wątpliwości przed wyruszeniem w dalszą drogę.

— Przysnam ci się, mój Tomasz — rzekł Karol — że gdybym na stare lata chciał sobie spokojny jaki kąt upatrzeć, nie zamieszkałbym na tej waszej tak zwanej pustyni. Nie ma tu za grosz spokoju i bezpieczeństwa; jak nie ze strzelby, to z łuku do człowieka strzelają, w dzień oglądaj się na wszystkie strony, w nocy znów uszu nadstawiaj, nawet wyspać się trudno, a codzień to nowe niespodzianki i nieustannie obawiać się trzeba, i o własną skórę, i o przyjaciół. Cud to chyba ustrzegł pocziwego pana Pawła od śmierci, a i koło Nilki było już krucho.

Tomasz milczał i bystrym wzrokiem oglądał widnokrąg dookoła. Karol tymczasem nabił strzelbę i mruknął:

— Trzeba być w pogotowiu na wszelki wypadek, kto tam wie, jakich znów wrogów лихо nam napędzi.

— Na ten raz nie będziesz miał do czynienia z wrogami — wycedził Kanadyjczyk przez zęby — to są po prostu antylopy.

W rzeczy samej po chwili mała gromadka, złożona z pięciu tych zgrabnych i zwinnych zwierzątek, ukazała się na łące. Antylopy biegły pędem z głowami podniesionymi, wyglądały, jakby spłoszone, zmierzały do małej kępy drzew, widniejącej w pobliżu. Minno wnosili, że uciekały od myśliwych, zapewne więc Indianie byli w pobliżu, nie radził więc strzelać do tej zwierzyny, aby nie ściągnąć na siebie uwagi dzikich.

Ale Nilka, zawsze samowolna, nie zważała na to, poskoczyła ze swoim łukiem, ukryła się w trawach i pełzać zaczęła z nadzwyczajną ostrożnością, zbliżając się do miejsca, przez które przebiegać miały antylopy. Wkrótce Indianka znikła z oczu wędrowców, a w kilka chwil później Karol ujrzał ze zdumieniem, jak jedna z gromadki antylop nagle się zachwiała, upadła na kolana, spojrzała za uciekającymi towarzyszkami, potem opuściła głowę i położyła się na trawie.

— Co jej się stało? — pytał Karol — czy apopleksya ją zabiła?

— Nie — odparł Tomasz — dosięgła jej strzała Nilki.

Karol chciał pobiedz podnieść zwierzynę, lecz uczuł na ramieniu dłoń towarzysza i usłyszał głos jego przyciszony:

— Indianie!

W rzeczy samej liczną zgraję dzikich wysunęła się z za wzgórza, zmierzając w stronę, gdzie padła antylopa. Karol naliczył ich piętnastu, można też było odróżnić pomiędzy nimi kobiety, a nawet i dzieci; była to prawdopodobnie ludność pobliskiej osady. Zaczęto się naradzać. Zrazu wędrowcy nasi chcieli się ukryć wśród drzew, ale trudno już było teraz zmylić czujność dzikich, widzieli oni doskonale upadającą antylopę, a nie wyobrażali sobie pewnie, jak niedoświadczony Paryżanin, że ją zabiła apopleksya.

(d. c. n.)

Łamigłówka w kwadraciku.

(Od Różycki dla Stasiuni Cz.)

W kwadraciku z 6 podziałek umieścić 7 A—1 B—2 D 2 M—2 R—2 T—aby utworzyć: 1. Nazwę najbliższego krewnego. 2. Dowód życzliwości. 3. Imię mężkie. 4. Przeszkodę.

TREŚĆ: Dżulfia miasto w Persyi (z drzew.). — Królewicz tułacz, powieść p. M—a. (dokończenie). — Wyżlica (Bajka) p. Z Morawską. — Prawdziwe czary, rzecz nudna lub zabawna, jak się komu podoba, spisana p. Maryą Świdorską. — Wyprawa po złote runo, przygody podróżników (c. d.). — Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Żarłok poprawiony, wiersz (z drzew) — Mały baby. — Nauczyciel w kłopotach (c. d.). — Łamigłówki, rozwiązania, Odpowiedzi Redakcyi i Ogłoszenia

Dodatek książkowy: Findelkind, nowelka przez Ouidę.

Niteczka Aryadny. (Zuzulka z nad Tykicza).

je	rzuć	re	le	zjedz	świat	ca	prze
piże	kra	ka	tyl	raeh	sza	plyń	ły
bież	o	za	gnie	o	gi	w ob	mo
prze	ko	się	jak	nie	ko	i	rze
i	że	le	Jak	le	po	nie	nie
da	bo	za	gły	nad	do	ma	ply
i	le	mie	zie	ja	kra	ko	mi
ko	sze	ro	ko	świat	kło	sa	tyl

ROZWIĄZANIA DO N-ru 11-go.

Łamigłówki głoskowe:

Ryga.

Łamigłówki zgłoskowe:

Synod—Panam—Eskuryal—Łys—Naruszewicz—Irene—Annibal—Moderato—Zaitis—Yankesy—Cerber—Zawsze—Edynburg—Noemi—Ispahan—Eryk—Wielki—Antimp—Si—miradzki—Zeuxis—Eliasz—Imię.

Spełniam życzenie wasze i dalsze losy Reginki piszę.

OGŁOSZENIE.

Młody chłopiec czternastoletni, starannie wychowany poszukuje towarzysza na wyjazd do Krynicy w porze wakacyjnej. Gdyby który z panów nauczycieli lub ojców rodzin chciał zabrać go z sobą, zapewniając mu opiekę troskliwą, raczy zgłosić się listownie do naszej redakcyi, podając adres i warunki.

Prenumeratę w ilości rs. 12 (kosztu przesyłki rs. 1.) na mapę poglądową Królestwa Polskiego ułożoną przez J. Wójcicką przyjmuje Redakcyja naszego Pisma.

Po zamknięciu prenumeraty co w dniu 15 Kwietnia nastąpi cena mapy wynosić będzie 15 rubli. Mapa kolorowa wyjdzie w połowie Maja i oddaną będzie prenumeratorem w końcu Maja podklejoną na płótno, werniksowana, oprawiona w dwa wałki, ozdobnemi gałkami zakończone. Do zawieszenia mapy służyć będzie sznur trzema pętlami zaopatrzony.

ŻARŁOK POPRAWIONY.

Dziwną wadę miał Augustek,
Wadę nie do wiary:
Póki się nie dojadł pustek,
Ciągłe jadł bez miary.

Z salaterki, czy tam z wazy,
Jadł i jadł aż do dna,
Nabierając dziesięć razy,
Jak potwora głodna.

Buzia sterczy, brzusek sterczy,
Aż patrzeć śmiech bierze
Chłopczyk zjadłszy, znów jeść skwierczy
I znów je wieczerzę.

Aż mu rzecze siostra Nusia,
— Pójdź, braciszku, do mnie,
Patrz na pieska, na Wiernusia,
Jak on jada skromnie,
Kiedy raz głód zaspokoi,
To już nie je więcej,
Jakby chciał panować swojej
Naturze zwierzęcej. —
Chłopczyk patrzy, słucha rady,
Wstyd mu się zrobiło,
I wstrzymywać się od wady
Począł całą siłą,
Aż się nią i zaczął brzydzić,
Jak rozumni ludzie,
Aby przecież się nie wstydzić
Przed Wiernusiem w budzie.



Żarłok poprawiony.

MAŁY BABY.

Klarcia, mała panienka, mieszkając z Rodzicami w Indyach Wschodnich, przyjechawszy tam z Europy, przywiozła z sobą ulubionego, malutkiego, pieska Minusia, ale biedactwo to, przez ciąg podróży, tak ciężko chorowało na tę brzydką morską chorobę, nie mogąc ani jeść ani pić, że wkrótce po przybyciu na ląd, żyć przestało. Mała Klarcia żałowała swego pieska tak bardzo i tak długo, aż Ojciec gniewał się o tę jej wielką tkliwość, gdyż bał się, aby ona sama nie zasłabła. Dziewczynka chciała być Ojcu posłuszną i Minusia zapomnieć, ale mimo najlepszych chęci nie mogła tego dokazać. Rodzice widząc to zaczęli się naradzać, co by tu zrobić, aby uspokoić Klarcie:

— Podaruję dziecku kilka pięknych ptaków, albo ładną malutką małpkę, albo co sama zechce — mówił Ojciec — ażeby zapomniała raz o tym psiaku.

— Ależ Klarcia małpek wcale nie lubi, tylko na swobodzie — odpowie Matka.

— To wystaram się o jeszcze ładniejszego pieska dla Klarki, niż był ów Minus, aby bawiąc się z nowym, zapomniała dawnego.

— Najprzód pewna jestem, że widok nowego psiny będzie tylko przypominać Klarki dawnego, a potem takie małe pieski są bardzo delikatne, gdyby znów z nim stało się jakie nieszczęście, byłby nowy kłopot.

— A prawda — zawołał Ojciec — dziewczyna gotowa znowu się tak martwić, jak teraz; nie chcę już dla niej nowego pieska. Ale przecież trzeba koniecznie dać dziecku jakie stworzonko, bo to jest miła rzecz dla wszystkich dzieci, jeżeli mają jakieś zwierzątko, które polubią i którem się opiekują.

— To już nie wiem co zrobić, bo Klarcia lubi tylko rozumne stworzenia, jakimi są psy i konie, bo te najprędzej przywiążą się, i rozpieścić się dadzą.

Tak rozmawiali Rodzice zakłopotani trochę o Klarcie, Ojciec chodził po pokoju i myślał, myślał, aż zawołał:

— Już wiem! wyszukam Klarki takiego mądrego i rozumnego i dobrego psinę, jak już sam Minus lepszym i mądrzejszym być nie mógł, a który, wyjąwszy jakieś nadzwyczajne wypadki, będzie mógł żyć tak długo, jak życzę aby sama Klarcia żyła.

To powiedziawszy, wyszedł śpiesznie z domu.

Nietylko Klarcia, która przysła pod koniec tej rozmowy, lecz nawet i Matka zaciekawioną była. Obie zgadywały, co to ma być za nadzwyczajny psina, lecz nic zgadnąć nie mogły. Minęło kilka dni od tej rozmowy, aż raz wchodzi Ojciec przedko pod werandę i woła:

— Klarcu, Klarcu, poproś Mamy, pójdźcie obie zobaczyć twego nowego pieska!

— Iść go zobaczyć? a dla czegoż on do nas przyjść nie ma? — spytały obie.

— I owszem, przyjdzie najchętniej, ale musi najprzód Klarcie poznać i pokochać, trzeba też aby Klarcia polubiła go wprzód, bo niezmiernie jest czuły na ludzką życzliwość.

— Ech — rzecze Matka — już ja teraz wiem, co to za piesek, nie rozumiem tylko, jak mogłam nie odgadnąć tego, gdy mówiłeś, że długo bardzo żyć może.

Matka zgadła istotnie, ale Klarcia nie mogła niczego się domysleć, aż o kilkadziesiąt kroków za domem ujrzała przywiązane do drzewa za nogę... słonia młodziutkiego; a Ojciec rzekł:

— Oto masz mądrego i pocziwego a bardzo długo żyjącego pieska. — Nie był to piesek lecz młodziutki słoń, większy jednakże niż najpotężniejszy wół. Mimo to, Klarcia, która w podróży i po przybyciu widziała dużo słoń, zdziwiła się niezmiernie, że był jeszcze młody:

— Jakże można go było schwytać? — spytała — kiedy czytałam, że duże słonie bronią swoich małych zawzięcie, otoczywszy je w koło przed niebezpieczeństwem?

— Tak jest, masz słusność, lecz z tym słońciakiem był niezwykły wypadek, jest ono sierotą, matkę jego znaleziono

kończącą życie a biedne małe stworzenie lizało jej nawpół żywe jeszcze ciało. Starania wszelkie nic nie pomogły, matkę zabrano nieżywą, a biedną sierotkę wychowywano troskliwie, aż oto tak ładnie wyrosła.

— Och, biedna mała sierotka — zawołała Klarcia ze łzami w oczach — jakżeż jej będę dogadzała, żeby nie czuła braku swojej mateczki. Ale może słońciak jeszcze ssać potrzebuje i nie da się wychować bez matki, bo przecież słonie są do dwudziestu lat dziećmi?

— Nie, ma ono już przeszło dziesięć lat, jest twoim rówieśnikiem i doskonale wyżywić go będzie można. Jak w dzisiejsze, jest to jeszcze małe dziesięcioletnie dzieciątko, ale przecież już nie niemowlę, bo chociaż słoń do dwudziestu blisko lat rośnie, to jednak w dwunastu bywa już wyrostkiem, a w szesnastu jest dorastającą osobą, zupełnie tak, jak z tobą będzie — dodał Ojciec uścisnąwszy swoją pieszczoszkę.

Klarcia mimo żalu nad biednym słońciakiem naśmiała się z tego małego dzieciątka rówieśnika swego, wielkiego jak strach w bajce, lecz dobrego, jak prawdziwe dobre dziecko. Podziękowała Ojcu serdecznie, wiedząc, ile kłopotu musiał użyć, nim dostał dla niej takie piękne zwierzę, bo słoń kosztuje na wyspie Cejlon około 50,000 złp. Nazwała go Dzieciątko, to jest Baby, bo była angielską i na wielką rodziców uciechę zajęła się tym Babym tak troskliwie, że powoli przeszedł jej żal za Minusiem. Oczywiście, Klarcia nie potrafiłaby hodować swego ulubieńca sama, to też Ojciec sprowadził do tego doświadczonego dozorcę słoń imieniem Thomsa, który słońka pilnował troskliwie, dając temu dziecku jako pożywienie około stu funtów ryżu dziennie z różnemi dodatkami.

Klarcia zaś pieściła go, głaskała, mówiła do niego tak, jak do mądrego psa i dawała mu przysmaczki i wino.

Baby bardzo prędko zrozumiał, kto jest jego panią; przywiązał się do Klarki, jakby mądry pies. Chodził za nią krok w krok, a nawet do pokoju chciał wchodzić, lecz nie mógł się zmieścić we drzwi. Tak więc przez okna patrzył do pokoju, wołając na Klarcie po swojemu.

Gdy Klarcia siedziała pod werandą, Baby ostrożnie wchodził na schody, żeby być bliżej swej pani. Gdy chciała przejść się, szedł przy niej; gdy się kąpała w rzece, Baby kąpał się z nią razem, a jak raz pośliznęła się i upadła, to Baby, choć niby sam dziecko, pochwycił natychmiast swą panią delikatnie trąbą, wyjął z wody i położywszy na trawie, głośno wołał ratunku, a potem nie czekając, znów chwycił Klarcie i prędko biegł z nią do Matki po ratunek. Tak Klarcia wychowywała się razem z Baby, rośli razem i dziś oboje są dorośli, żyjąc zawsze w serdecznej przyjaźni.

NAUCZYCIEL W KŁOPOTACH.

CZYLI

PIĘCDZIESIĄT DNI WAKACYJ,

napisał Michał Krzemień.

(Dalszy ciąg).

Dzień XXX.

Wieczór tańczący na stepach amerykańskich.

Tymczasem łączka zazieleniła się delikatnie na nowo, chłopcy poprosili Wacia, aby pomógł im oznaczyć na niej Amerykę i zaczęto pracować nad Ameryką gorliwie. Pracowano już parę dni, bo chłopcy robili dokładnie, i patrzyli ciągle na mapę. Już odznaczyli dwa wielkie lądy w kształcie półwyspów i połączyli je wązkim miedzymorzem Panama i zarysowali pomiędzy temi dwiema częściami leżące Indye Zachodnie, to jest wyspy Wielkie i Małe Antylle. Rozumie się, że odznaczając te wszystkie kształty na ziemi, uważano dobrze, aby na południu było to, co tam być powinno a na północy, wschodzie lub zachodzie to, co istotnie w takim po-

łożeniu się na świecie znajduje. Potem podzielono Amerykę północną na różne kraje, tak, jak jest w rzeczywistości, więc posiadłości Brytańskie, Stany Zjednoczone Północno-Amerykańskie, Meksyk, Stany Zjednoczone Środkowej Ameryki. Potem w drugiej części ładu, to jest w Ameryce Północnej, odznaczono Peru, Boliwii, Patagonię, La Platę, Brazylię, i t. d. Następnie poodznaczano główniejsze rzeki takie, jak np. Mississippi, Rio-del-Norte, Niagara, Św. Wawrzyńca, Magdalena, Amazonka i t. d. i góry główne takie, jak Kordyliery i t. d.

Oczywiście główną trudnością w całej robocie było to wszystko wyrachować, wymierzyć i ponaznaczać, a dalsze wykończanie, to jest usypywanie maleńkich gór i przekopywanie małych rzek według oznaczonych kierunków, było już łatwem, chociaż także czas zabierało. Śpieszono tedy najprzód z wymierzeniem i ponaznaczaniem, gdy wtém nadeszła sobota i wieczór zapadł, a nazajutrz przecież nie kopało się ziemi, tylko pojechało się z rana do kościoła. Wróciwszy, obejrzały dzieci swoją Amerykę, ale nic nie robiły koło niej, zamykając tylko starannie furtki, aby Magnusowe potomstwo nie dostało się na łączkę i nie psuło ich pracy. Tymczasem wezwano do stołu, obiad przedłużył się trochę, jak to bywa w niedzielę, a wtém przyjechali sąsiedzi.

Pomiędzy gośćmi było kilka chłopców niedużych i kilka panienek, wszyscy zaczęli się dopytywać, co słychać na Łące-dziej łączce? gdyż wszyscy radzi byli ujrzyć jeszcze tragedję. Państwo Janiccy wspomnieli o Ameryce, i goście uparli się tę Amerykę widzieć. Poszli więc wszyscy. Chłopczyki domowi pewni byli z góry, że ich Ameryka nie zajmie wcale dzieci, które jakkolwiek im równe wiekiem, przecież nie były jeszcze w szkołach i w domu nie bardzo się uczyły; tak też się stało w istocie. Mali goście wytrzeszczali oczki na Amerykę, jak na dziwowisko, ale nic nie rozumieli. Wtém Wojtuś, grajek wioskowy, zadzwieczał w swoją skrzypkę przed dworem i panienki krzyknęły:

— Ach, jak tu ślicznie będzie potańczyć na tej łączce! zawołajmy Wojtusia i tańczmy!

— A i owszem — powiedzieli państwo Janiccy, radzi gościom, i posłali po Wojtusia, bo i oni ani pomyśleli jakoś, ile to pracy i namysłu kosztowała owa Ameryka na łączce, którą teraz panienki i chłopczyki sąsiedzkie mieli zniszczyć i zatrzeć nogami w pierwszym krakowiaku, rozdeptując Kordyliery i zasypując Amazonkę i Mississippi.

Uczniowie Wacia skamieniali prawie ze zgrozy, usłyszawszy poprzednią rozmowę, podobno nawet łzy im w oczach stanęły, a te oczy obróciły się ku Waciowi po ratunek, ale przytém milczeli grzeczni chłopczyki, rozumiejąc doskonale, że nieprzyzwoitością byłoby sprzeciwić się gościom lub państwu Janickim; tymczasem Wojtuś już szedł ze swoją skrzypką; trzej chłopcy zafamali ręce, a wtém zawoła Wacio:

— Moi państwo, stoimy przed Ameryką, a w Ameryce, mianowicie tu oto, gdzie grunt jest równy, znajdują się rozległe stepy, po których bują dzicy Indianie; otóż jeżeli państwo pozwolicie, to urządzimy sobie wieczór tańczący u tych dzikich, na stepach amerykańskich!

Na te słowa Wacia jego uczniowie odetchnęli, pewni, że on wymyśli jakiś sposób ku ocaleniu Ameryki, a młodzi goście skakać zaczęli, wołając:

— Wieczór tańczący na stepach amerykańskich! dobrze, ach dobrze!

Starsi państwo śmiejąc się usiedli na ławce przed łąbedzim domkiem i patrzali z daleka, co to będzie? Wacio z chłopcami prędko przyniósł parę desek i położył je tak, aby po nich można było dostać się prosto do stepów, nie rozdeptując ponaznaczanych na ziemi linii i szepnął do chłopców swoich:

— Prędko przyniescie naszą dużą miedzianą miednicę, ja będę na niej grał taniec indyjski, a wy chwytajcie wasze łuki, strzały, i pałki rozbójnicze z naszej tragedji i tańczcie wojenny taniec na amerykańskim stepie, bo tam najgładziej, więc sobie roboty nie popsujecie; im wyżej będziecie skakać i bardziej rękami i nogami wymachywać, tém lepiej, ale przy-

tém zamierzajcie się na siebie i celujcie do siebie, jakbyście z sobą walczyli, bo taki jest naprawdę charakter wojennego tańca u dzikich, tylko strzały miejcie na plecach a łuki w górę mi trzymać ostrożnie, żeby jeden drugiemu oka nie wybił!

Chłopcy w mgnieniu oka wypełnili Wacia rozkazy, on posadził obce dzieci z daleka od Ameryki, zapowiedział im, że wieczór tańczący w stepach amerykańskich rozpocznie się wojennym tańcem ludożerców, i uderzył dwoma kluczami w miednicę, do góry dnem przewróconą, a Stefanek, Oleś i Leonek, skoczywszy na swoje stepy, zaczęli tańcować na sposób dzikich, wyskakując co siły a dusząc się przytém ze śmiechu. Wacio wyprawiał taki straszny hałas na swojej miednicy, a jego uczniowie tak zapalczywie wykrzykiwali, walcząc niby ze sobą, że obce dzieci w pierwszej chwili zupełnie dały się zwieść i z wytrzeszczonymi oczami, za prozotwieraniami ustami patrzyły na ów dziwny taniec, jakiego nie widziały w życiu, dopiero spojrzawszy przypadkiem na rodziców, zanoszących się od śmiechu, z ich zdumienia i z samego tańca zrozumiały przecież dzieci, że to były żarty i same śmiać się serdecznie zaczęły. Nareszcie, gdy już wszyscy się naśmieli i sami tancerze pomęczeni tańczyć więcej ze śmiechu nie mogli, Wacio nagle przestał bić kluczami w miednicę, krzyknął na osłupiałego z zapatrzenia Wojtusia, aby grał oberka i schwyciwszy jakąś małą panienkę, skoczył z nią po desce na amerykańskie stepy i tańcować zaczął ochoczo, wołając na swoich uczniów i na gości:

— Za mną chłopcy i panienki! ale po desce, bo to jest ocean i potoniecie!

Wszyscy śmiejąc się skoczyli do niego po desce, jak kazał, i wywijali oberka w małym kółku na amerykańskich stepach, bez szkody dla Ameryki, bo choć tam czasem kto nogą o góry Kordyliery albo o rzekę Mississippi lub o Amazonkę zawadził, to przecież tylko troszeczkę znać było i łatwo się dało nazajutrz naprawić, wcale nie tak, jakgdyby po całej Ameryce deptano. A wtém wśród największej ochoty, przyszła pani Janicka i zaprosiła wszystkich do dworu na herbatę. Więc wszyscy wesoło, starsi śmiejąc się, młodzi skacząc, poszli do pokoju powiadając, że chłopczyki chociaż bez wielkich przygotowań przecież wyprawili gościom nowe widowisko, a mianowicie balet nowego zupełnie pomysłu, który można nazwać *Pas-de-trois*. Tak odbył się wieczór tańczący w stepach amerykańskich, i tak ocalała Ameryka.

Nazajutrz dzieci żwawo ponaprawiały małe szkody wczorajsze na swojej Ameryce, i wykończyły ją porządnie, a następnego dnia przyniesiono Waciowi jego cylinder, parasol, świeże cygare, i całą torbę drobnych pierniczków i makaroników od pani kupcowej Janickiej, aby służyły jako pieniądze. Zaprzężono konie, Wacio przemieniony w Anglika wsiadł do powozu, woźnica trzasnął z bicia i udano się w podróż po Ameryce. Jechano wolno, noga za nogą, bo to podróż trudna i woźnica szczerze wyznał, że drogi dobrze nie wie, musiał więc Anglik ciągle go objaśniać, a objaśniał tak zajmująco, i kraje były takie ciekawe, że konie nawet bez uszami strzęły z wielkiej ciekawości, słuchając. Trudno byłoby i opowiedzieć, gdzie i jak jeździł Anglik i co o każdym kraju opowiadał. Był w mieście Bostonie, gdzie się urodził Franklin uczony, który wynalazł konduktory, chroniące od piorunów; był w plantacjach trzciny cukrowej, bawełny, kawy i t. d. gdzie murzyni pracują, był w Meksyku, był w Kalifornii, gdzie złoto kopią; był w Brazylii, pełnej drogich kamieni. Ale ktoby tam zdołał w krótkości opowiedzieć, gdzie oni byli, i o tych lasach niezmiernych, i o tych zwierzętach różnych, i ptaszkach błyszczących maleńkich, i o ogromnych straszliwych wodospadach, i o stepach niezmiernych, pełnych zwierząt i dzikich Indian.

Rozumie się, że tego wszystkiego nie można było w jednym dniu przejechać, bo Anglik opowiadał po trochu i historję każdego kraju, jak i kiedy Europejczycy dowiedzieli się o nim, więc mówił i o Kolumbie odkrywcy Ameryki i o Kortezie, który Meksyk zdobył i różne a różne inne rzeczy, o których całe książki są napisane. Woźnicy i koniom podobała się taka podróż niezmiernie. Jeżdżono więc przez kilka dni,

dopóty, aż sam woźnica nauczył się bez pomocy Anglika trafić do każdego kraju i w każdym miejscu wiedział, gdzie się znajduje i umiał o tém miejscu opowiedzieć. A potem jeden koń został woźnicą i uczył się sam jeździć, potem drugi koń.

Dzieci tak się tą zabawą zajęły, że oderwać się od niej nie dały, i już układały sobie, że trzeba i Azję, i Afrykę i Oceaniją tak samo odrysować na łączce i zwiedzać. Ale Wacio zapewnił, że tylko z Azją dałoby się to jako tako zrobić, zaś z Afryką i Oceaniją poczekać trzeba, aż te części świata będą dokładniej przez dzielniejszych od niego podróżników zbada-
ne, bo teraz jeszcze nie zupełnie wiadomo, jak tam jest w nich pośrodku, nie umiałby ich zatem Wacio odrysować na łące.

(D. c. n.)

SZARADA.

(Od Różycki dla Stasiuni Cz.)

*Pierwsze jest to litera znana w alfabecie,
Pierwsza-trzecia ma wartość, jaką sami chcecie,
Drugim-pierwszém na koźle siedząc powozicie,
Wszystko utworzy imię, nadane kobiecie.*

Łamigłówka zgłoskowa.

(Zuzulki z nad Tykicza).

Z następujących zgłosek: bia—bro—gar—e—i—kot—nek—nu—pan—ran — ułożyć wyrazy: 1. Bóstwo starożytnych Greków. 2. Rzeka w Hiszpanii. 3. Zwierzę domowe. 4. Kraj w Azji. 5. Kraj w Afryce. 6. Sprzęt kuchenny. Początkowe litery od góry do dołu, a końcowe w kierunku przeciwnym tworzą nazwy dwóch miast chińskich.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 13-go.

Zagadki:

Zamek.

Łamigłówka w kwadraciku.

N	I	L
I	L	E
L	E	N

Skrzynka do listów.

Jaszębia przepraszamy, że łamigłówek jego zamieścić nie możemy, gdyż w pierwszej zestawił dwa nazwiska, które obok siebie wyglądają dziwnie, a nawet śmiesznie, druga zaś nie jest według prawideł ułożona, gdyż wyrazy powinny mieć jednakową liczbę liter. Cieszymy się bardzo, że kochany Jastrząb przyszedł już do zdrowia.

Lis Rejneke dobrze ułożył łamigłóvkę, ale nie mamy obecnie na nią miejsca.

Koszatka nadesłała parę łamigłówek, zapominając dopisać rozwiązania. Ach, kochana Koszatko, czyż my mamy czas łamać sobie głowę nad ich odgadnięciem?

Łoś już i sam się przekonał, że nie odgadł zagadki Kosa.

Brzózce z nad Giełczwi. Pismo będzie odtąd wysyłane pod wskazanym adresem. Niechże tylko kochana Brzózka nie zapomni nam donieść, jak się uda przedstawienie komedyjki „Panna Barbara”. Liścik jest bardzo dobrze napisany, bo wyraźnie, czy-
sto, bez żadnych omyłek, a takie, choćby najdłuższe, zawsze z pra-

wdziwą przyjemnością odczytujemy. Srocza i Turkawka z nad Bystrzycy nie są siostrzyczkami, pierwsza mieszka w Lublinie, nazywa się Terenia, druga ma imię Marynia i mieszka na wsi.

Wilejce. Rubel przesłany dla ubogich oddano według przeznaczenia, przez zapomnienie nie wspomnieliśmy o tém w poprzedniej odpowiedzi. Żądany N-r 10 wysłany powtórnie.

Bocian musi być bardzo niecierpliwy, skoro zaraz po napisaniu liściku wygląda odpowiedzi; już nieraz tłómaczyliśmy kochanym korespondentom, że nie możemy odpisywać z takim pośpiechem. Zagadkę umieścimy, ale i tu trzeba być cierpliwym. Pytanie, które Bocian zadaje redakcyi, zadziwiło nas troszkę. Jeżeli ptak nasz nie był w lesie chowany, musiał zapewne słyszeć od rodziców i nauczycieli, że Bóg obdarzył człowieka rozumem i wolą, bo o tém przecież nawet małym dzieciom mówią. Zkądże więc ta wątpliwość: „Czy człowiek ma wolną wolę?” Bocian chce na to dowodów. Na to damy mu radę następującą: Jeżeli kiedy będzie miał pokusę do złego, (a to się zdarza każdemu) jeśli go opanuje np. lenistwo, popędlliwość, lub coś podobnego, niech zbierze siły i stara się ten zły popęd przezwyciężyć. Byłoby chcieć szczerze, jesteśmy pewni, że tego dokona, a wówczas będzie miał sam na sobie dowód najlepszy, że człowiek „ma wolną wolę”. Łamigłówki nasze Bocian odgadł trafnie, życzymy, aby równie pomyślnie i wątpliwości swoje rozstrzygnął.

Rezeda wybornie odgadła wszystkie zagadki, na resztę listu odpowiedź dana będzie niezadługo.

Szczygieł z nad Giełczwi bardzo ładny sobie wybrał pseudonym; sądząc z liściku, trudno uwierzyć, aby miał zasługiwać na tę inną nazwę, którą ciocia żartem tylko zapewne proponowała. Janeczka niech kochany Szczygiełek uściśka od nas w takiej chwili, kiedy nie grymasi. Fiolek z pod Lublina nie odkrył nam prawdziwego swego imienia.

Wszystkim ptakom przesyła pozdrowienie nowy kolega Szczygieł.

Białej Różyckce z nad Mazgawy. Przesłane zagadki się nie zarzuciły, ale wśród mnóstwa innych czekają kolei. Mamy już przyrzeczenie szanownej autorki „Reginki”, że nasze czytelniczki obdarzy nową powiastką w tym roku. Rozwiązania trafne.

Aurykla i Trawka przedwcześnie narzekają na Wiewióreczkę; może list na pocztę zaginął, a może miała jaką przeszkodę, pewnie jednak odpisze im wkrótce.

Promycek niech będzie cierpliwy, szarada będzie wydrukowana.

Kurza Łapka przesyła pozdrowienie Iskierce. Łamigłówka... niestety! musi czekać wraz z innemi.

Lirenka bardzo miły liścik napisała, ale do wypracowania zapomniła dodać nazwisko prawdziwe i adres. Szarady będą drukowane troszkę później.

Sikorce przesyła pozdrowienie Lirenka i redakcyja także.

Chmurka, siostrzyczka Gwiazdki, musi sobie obrać inny pseudonym, lub dodać coś do tego, bo już mamy jedną Chmurkę korespondentkę, chociaż coprawda dawno już do nas nie pisała. Łamigłówka trafnie odgadnięta. Paulince z Prześladowania trzeba wybaczyć, skoro się poprawiła.

Kruszynie. Dziękujemy bardzo za wiadomość, że zabawka elektryczna tak doskonale się udała, a malutkiej Stasiuni, co patrzeć na pajacyków tańczących, wołała tju-tia-la-la, przesyłamy buziaka. Rozwiązania trafne, przesłane łamigłówki będą zamieszczone, ale nie natąz.

Jaskółka z nad Sekwany odezwała się nareszcie po długim milczeniu, ale bo też już wiosenka zawitała i wszystkie nasze kochane ptaszyny powinnyby zacząć świegotać wesoło. Jaskółka z nad Wisły ma lat 14 nazywa się Natalcia, Jaskółka z nad Warty ma imię Zosia, lat 12, Jaskółka z nad Granicy ma imię Helenka, lat 14, Sikorka ma lat 12, nazywa się Berta.

Do wszystkich. Upraszamy czytelników naszych o dokładne wymienienie adresów obok żądania przesyłki sprawunków, niepodobna nam bowiem szukać ich i odgadywać z książek pocztowych, gdy list podpisany pseudonymem lub samém tylko nazwiskiem.